Janina Łagoda

Niepodległość Polski nie zstąpiła 11 listopada 1918 roku, tj. w dniu zawarcia rozejmu podpisanego pomiędzy ententą (Wielka Brytania, Francja, Rosja) i Cesarstwem Niemieckim w wagonie kolejowym w lesie Compiegne, ale dla rodaków był to dobry znak i zaczyn do rychłej jutrzenki swobody po 123. latach niewoli. Ważkim zapisem był nakaz wycofania wojsk pokonanych mocarstw oraz imperium Rosyjskiego do macierzystych koszar, także z przedzaborczych ziem polskich. Aby przetłumaczyć ten wojskowy pakt na nowy ład w Europie, zwłaszcza w odniesieniu do granic międzypaństwowych, konieczny był traktat pokojowy, który podpisano 21 stycznia 1920 rok w Wersalu, po trwającej od 19 stycznia 1919 roku konferencji pokojowej. Polskę reprezentował Ignacy Paderewski (1860-1941), premier rządu utworzonego 16 stycznia 1919 roku z nadania Józefa Piłsudskiego (1867-1937) oraz Roman Dmowski (1860-1941), który w praktyce był spiritus movens polskich interesów na tym kongresie stojący wówczas na czele Komitetu Narodowego Polskiego, powołanego 15 sierpnia 1917 roku w Lozannie z siedzibą w Paryżu, uznawanego za namiastkę rządu polskiego na emigracji. Kruszenie zaborczych okowów było procesem o początkach znacznie wcześniejszych od przytoczonych aktów, pieczętujących niepodległość Polski. Udział w dziele tworzenia Niepodległej, mieli nie tylko wcześniej wymienieni, ale także zastęp tych, którzy przewodzili niepodległościowym nurtom zarówno o rewolucyjnych inklinacjach, jak i ugodowców oraz legalistów. Nazwisk wiele, jak Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Wojciech Korfanty, Ludwik Waryński, Róża Luksemburg, ale także Romuald Traugutt, Adam Potocki, Kazimierz Badeni, Agenor Gołuchowski, Aleksander Wielopolski, Zdzisław Lubomirski i inni. Wspólnym mianownikiem ich myśli i czynów pozostawała perspektywa suwerennej ojczyzny. Konstelacje polityczne wprawdzie tryskały różnorodnością, lecz zenitem była niepodległość, i to wystarczająca okoliczność, aby na trwale znaleźli miejsce w narodowej wolnościowej księdze pamięci. W biografiach każdej z tych osób można znaleźć wiele czynów osłabiających mocarstwa zaborcze z myślą o wolnej ojczyźnie.

Międzywojnie

Odzyskanie niepodległości to nieogarniona radość trwale wbijająca się w umysły pokoleń rodaków. Szlachectwem tamtych dni jest bezkolizyjne wpisanie się w dzieje Polski, także tej współczesnej. Natomiast od zawsze problemem pozostawały formy okazywania wdzięczności za dar irredenty. To kaskada mnogości bezkompromisowych pomysłów, które w prostym przekładzie nadal prowokują konflikty. Każdy z nich – w przekonaniu inicjatorów - był i jest toczony w słusznej sprawie, drapowanej przeróżnie interpretowanymi hasłami o patriotyzmie, niepodległości, suwerenności, wolności etc. Konia z rzędem temu, kto znajdzie wspólny mianownik narodowej zgody, mimo że polska szkoła matematyczna miała się dobrze wówczas i tak jest dzisiaj. Natura rodaków jednak nie przystaje do żadnego wzorca. Góruje gmatwanina manowców. Wielkością stałą pozostaje tylko wola celebrowania ubiegłowiecznych zdarzeń z amplitudą nieprzebranych pomysłów dla pomysłów bez praktycznego wyznaczania pojednawczej idei.
Spory co do formatu czczenia niepodległości od zawsze szczelnie wypełniały gorejącym politykierstwem publiczną przestrzeń, i nie raz zawstydzały wymowę darowanej wolności.

Ciernistą okazała się droga do formalizacji ogólnonarodowych pokłonów wobec odzyskanej suwerenności. Kluczono egoistycznymi meandrami niemal do tragicznego września. W podgrzewaniu chaosu, jak zwykle, prym wiodły grona sfermentowanych politykierów. Rektyfikacja tego zacieru do poziomu strawności była niemożliwa. Liderzy ugrupowań, często o kanapowej mnogości swych zwolenników, tkwili w zaparte przy wizjach, dla których egoizm był szlachectwem. Finałem dbałości o własne racje i fantazyjne wyobrażenia o mocarstwowość II RP, stała się okupacyjna noc. Paradoksy nigdy nas nie opuszczały i chyba nadal pozostajemy w ich uścisku.
Przed wojną corocznie świętowano odzyskanie niepodległości. Do 1936 roku była to pierwsza niedziela po 11 listopada. Jedyny raz czczono jej rocznicę w dniu 7 listopada na pamiątkę powołania (noc z 6/7.11.1918 r.) pierwszego Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej, zwanego lubelskim, kierowanego przez Ignacego Daszyńskiego (1866-1936), założyciela Polskiej Partii Socjalistyczno-Demokratycznej. Późniejsze uroczystości były kotłowiskiem partyjnych pryncypiów w sloganowych relacjach do interesów Rzeczpospolitej. Straceńczy to układ bliski kanibalizmowi, pożerającemu chwałę niepodległości z trudem odzyskaną. Formuła obchodów nie miała jednolitych reguł, towarzyszyły im polemiki, również co do wyboru terminu, a te można mnożyć. Ważne, aby wokół zaproponowanej daty roztoczył się konsensus. Od początku było to święto legionistów z wojskową oprawą, ale w 1918 roku, to nie w żołnierskim trudzie staliśmy się wolnymi. Oczywiście, Polacy przed momentem pokoju walczyli na różnych frontach, lecz pod sztandarami zaborców i w imię ich interesów. Taką też genezę mają Legiony Polskie utworzone w obrębie armii zaborczej rozkazem austriackiego dowództwa z 27 sierpnia 1914 roku, podporządkowując je centrali wywiadu austriackiego. Stało się to z inicjatywy proaustriackiego Naczelnego Komitetu Narodowego, powstałego 16 sierpnia 1914 roku w Krakowie, z którym sympatyzował Józef Piłsudski. Wartością tego zaczynu, pomijając szczegóły politycznego rodzimego folkloru ubarwiającego tę koncepcję, była m.in. konsolidacja polskich organizacji paramilitarnych działających na tamtym obszarze, co po odzyskaniu niepodległości stanowiło ważki wkład w budowę polskiej armii. Ale póki co, wielu rodaków wcielonych do zaborczych armii ginęło w bratobójczych bitewnych bataliach. Jedynym żołnierskim udziałem w odzyskaniu niepodległości był bunt Polaków – żołnierzy armii pruskiej, ale i cywilów również, którzy w patriotycznym odruchu stali się zbrojnym trzonem zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego. Wspomogło to naszych negocjatorów w wersalskich granicznych targach. Ten ważki dla niepodległości insurekcyjny moment był jednak marginalizowany w rocznicowych peregrynacjach. Promowali się ci, którzy organizowali nową armię z werbalnym przekładańcem niezwyciężoności. I to spektakularne militarne przesłanie dominowało w czczeniu kolejnych rocznic, mimo dyplomatyczno – wojennych dylematów piętrzących się w świecie. Dramatem dla naszych politykierów, tamtych sprzed lat, jak i dzisiejszych jest tworzenie zaścianka odpornego na światowe trendy. Uwzględniając historyczne analogie, to smutna perspektywa.
Rozliczne partie, stowarzyszenia, samorządy terytorialne, studenckie, uczniowskie etc., też czciły odzyskanie wolności, ale na różne sposoby w rodzimym stylu: razem, ale odrębnie z licytacją opinii co do własnych zasług w tym dziele. Uczyniono wiele, aby nie znaleźć jednej wersji uszanowania odzyskanej swobody. Taki to już model pojmowania przez nas jedności, która rzadko kiedy opuszcza sferę strzelistych haseł, zapowiedzi, życzeń, idealistycznych upojeń... Dzisiaj również budujemy monolit z wykorzystaniem ładunków burzących.
Pierwszy raz uroczyście, z ogólnopaństwową oprawą, obchodzono odzyskanie niepodległości 14 listopada 1920 roku, tj. w dniu uhonorowania J. Piłsudskiego, jako zwycięskiego Wodza

Naczelnego w wojnie polsko-bolszewickiej, wręczając mu buławę marszałkowską. W następnym roku obchody związano z odnowieniem Orderu Orła Białego, a w kolejnym z przyznaniem tego Orderu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Thomasowi W. Wilsonowi (1856-1940). Później rocznice zaczęły nabierać rodzimego rytu, znaczonego politycznymi odmiennościami. Oficjalne obchody były ignorowane przez wiele politycznych ugrupowań, które obstawały przy własnych wizjach upamiętniania tego wydarzenia. Od 1926 roku prawica zawłaszczyła święto i było ono obchodzone ku czci J. Piłsudskiego. W żaden sposób nie złagodziła tego z trudem wypracowana ustawa z 23 kwietnia 1937 roku ustanawiająca 11 listopada świętem państwowym, a więc już po śmierci Marszałka, który za życia też był bezradny wobec natłoku partyjnych licytacji w ważkiej sprawie świętowania Niepodległej. W tej formule zdążono zaledwie dwukrotnie czcić tamten dzień przed kolejnym zatraceniem Rzeczpospolitej. A nie takie było niepodległościowe przesłanie roku 1918.

Czas okupacji

Radość z niepodległości zasmuciła hitlerowska inwazja i to zaledwie niespełna 20. lat po wersalskiej zgodzie. Okupacja nie stłamsiła powiewu swobody. Niespotykany to fenomen czczenia niepodległości w niewoli. A tak było, bo listopadowe Święto koiło tragizm codzienności i na różne sposoby kąsało okupanta w imię kolejnej wolności. Formy zróżnicowane, ale pomysłowo skondensowane w nadających otuchy czynach, hasłach i symbolach, jak przykładowo: Polska żyje, Polska zwycięży, malowanie kotwic – personifikujących Polskę Walczącą o kolejną niepodległość etc. W ten sposób usiłowano łagodzić dramat tamtych dni, ocieplając je ułudą romantyzmu, który jest piękny tylko w literackich opisach i muzealnych ekspozycjach. Rzeczywistość bywa brutalna. Ale i w tych smutnych okolicznościach nie zbrakło sarkastycznych sądów wobec jakości rządów II RP. Nic więc dziwnego, że dotychczasowe ustalenia badaczy nie stawiają Polski w jednoznacznym rzędzie wolnym od sugestii współsprawstwa tej apokalipsy.
Wojna przegrana, a jednak partyjna krnąbrność w niewoli miała się dobrze. Jej echa i dzisiaj tęgo pobrzmiewają. Osi sporów jest bez liku. Takie chyba nasze jestestwo. Dowodów wiele, jak i ten, że topiąc się w kainowych swarach o przyczyny wrześniowej klęski, zagubiono perspektywę zatroskania o suwerenną ojczyznę. Nie zdążono wyjaśnić powodów jej zatracenia, a już pojawiła się nowa formuła państwowości, i jak zwykle bez naszego pryncypialnego udziału, lecz za to z rodzimym krwawym wsadem. Przodkowie mogli odetchnąć, ale czy w aurze satysfakcji? Pewnie nie, a i dlatego, że też po części uczestniczyli w marszu ku ponownej niewoli. Czas międzywojenny, to nie wyłącznie patriotyczna sielanka, lecz targanie w politykierskim amoku sukna suwerennej RP. Osłabiało to nasz międzynarodowy prestiż, ale nade wszystko dziurawiło wewnętrzna spoistość państwa. Sporo w tym analogii do dnia dzisiejszego.

PRL w ryzach suwerenności

Autorami zafundowanej nam powojennej autonomii były niemal te same mocarstwa, które ogłosiły dla nas niepodległy byt z komnat wersalskiego pałacu. Nie sposób ich też wykreślić z udziału w powojennych przeobrażeniach, jak i tych z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Droga do wolności, to nie tylko wizja nakazywana przez dobrą zmianę, ale mnogość geopolitycznych impulsów i czynów popełnianych przez Mocarzy na naszą rzecz, ale przeciwko

nam również. Rządzący niechętnie o tym wspominają, usiłując wekslować obce zaangażowanie w autonomię Polski. Żonglerka historycznymi faktami przeraża, jak i brak wdzięczności oraz zwykłej kurtuazji wobec innych, co nam pomagali. Pozostało samolubstwo i prymitywna wiara, że suwerenność, to wyłączna zasługa dzisiejszych władców. Prezydent i premier rządu tę myśl gruntują, fascynując się sfatygowanymi ekspiacjami prezesa prawej i sprawiedliwej partii, dla którego dzielenie społeczności jest roboczym narzędziem egoistycznego sprawowania partyjnej władzy. Wydaje się, że jako wzorzec upodobał sobie przyćmioną ludową demokrację, której smaku do niedawna kosztowaliśmy. Nałóg to trudna do wyleczenia przypadłość. Tamten centralistyczny model był usprawiedliwiony wolą Mocarzy, a nie rodaków, którym po wojnie przyszło funkcjonować w naznaczonych parametrach. Efektem radykalnego powszechnego zbiorowego protestu w tamtym czasie, jak to sobie dzisiaj wyobrażają władcy, byłby na pewno status kolejnej republiki kraju sąsiada, a nie PRL. Natomiast pokusa zbawiania dusz w centralistycznym transie nie odstępuje prezesa prawej i sprawiedliwej partii. Można rzec, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Kliniczny to przypadek wykoślawionego rozumienia demokracji.

Zasmuca, że Rzeczpospolita jest traktowana przez sprawujących władzę z wyzuciem empatii, tak jakby to nie była obywatelską odwieczną wspólnotą. Dla rządzących to problem, bo koleją losu i biologii okazuje się, że autorzy dobrej zmiany są zbratani z poprzednim systemem, a już na pewno ich rodzice i dziadkowie.

W naiwnym trybie usiłują temu zaprzeczać. Metryki nie sposób wzruszyć, co najwyżej sfałszować lub opakować wyzwoleńczymi frazesami. Można też przedłożyć niezliczone dowody na to, że wówczas, tak, jak cały naród budował stolicę, tak równolegle starał się kruszyć jałtańską decyzję. Była to jedność rozterkami okupiona. Nie ma też etalonu, wedle którego można byłoby zmierzyć stężenie patriotyzmu w patriotyzmie, a tak niedorzeczne wysiłki podejmują sprawujący dzisiaj władzę i ich klakierzy. Dla jedności to szkodliwy werbalizm upstrzony partyjnymi utarczkami.

W rządowej formule świętowanie niepodległości jest partyjnie znaczone. Dzisiaj nie ma miejsca na inną wyobraźnię. Władcy zadbali o spacyfikowanie Peerelu i Okrągłostołowego fenomenu, a był to oczywisty krok w oczekiwaniu kolejnej edycji suwerenności. Trudna to strawa dla biało-czerwonej drużyny, bo pozbawiona deseru z bratobójczej krwi. Dla rozsądnych to chwała, dla buńczucznych hańba. Szala jednak wyraźnie przechyla się na rzecz tych pierwszych, a to pozytywna tendencja, lecz nie przystająca do wyobraźni politykierów z Nowogrodzkiej. Przekłada się jednak na formułę świętowania stulecia niepodległości. Dla partyjno-rządowych funkcjonariuszy, stroniących od historycznych faktów, objawieniem stało się odsłonięcie pomnika (10.11.2018 roku) zmarłego brata-bliźniaka prezesa, Lecha Kaczyńskiego (1949-2010), który nijak przystaje do zdarzeń sprzed stu lat,
a powszechnie jest znany z tego, że zginął w katastrofie smoleńskiej z wieloma innymi. Nie sposób się doszukać argumentów przemawiających za jego polityczną wielkością, poza pełnieniem urzędniczych funkcji. Braterskie więzi wzięły górę i to z zapiekłym wykorzystaniem partyjno-rządowych mocy. Oto mamy po jednej stronie centralnego warszawskiego Placu imienia J. Piłsudskiego, pieczętowanego jego statuą, autentycznie zaangażowanego w odzyskanie przez Polskę niepodległości, a po jego prawicy dostatni posąg sublokatora, Lecha Kaczyńskiego, którego brat bez konstytucyjnej odpowiedzialności zarządza Rzeczpospolitą, w tym także tym Placem, wyjętym ostatnio spod magistrackiej jurysdykcji i przekazanym na militarne cele (sic!). Lista pretendentów do ewentualnych pomnikowych upamiętnień jest spora, ale i tutaj, jak się okazuje, protekcja jest ważna.

W cieniu oficjalnych uroczystości pozostał akt odsłonięcia w dniu obchodów Narodowego Święta przy warszawskim Rozdrożu pomnika wspomnianego Ignacego Daszyńskiego, walczącego o polskość pod zaborami, jednego z ojców niepodległości i premiera pierwszego rządu (6-11 listopada 1918 r.). Cieszy, że inicjatywa upamiętnienia tej postaci znalazła, wprawdzie symboliczne, ale ponadpartyjne poparcie, czego zbrakło wybujałej urzędowej celebrze odsłaniania w dniu poprzednim pomnika brata – bliźniaka. Tam górę wzięło zmonopolizowane klakierstwo.
Koniec II wojny światowej i kolejny dar niepodległości zaowocował entuzjazmem, ale kapitulacja III Rzeszy (8-9 maja 1945 r.) nieco przyćmiła zachwyt suwerennością roku 1918. Tym razem wolność przyszła ze Wschodu z dyplomatyczną aprobatą Zachodu. Naród się bratał, ale poniewczasie, staropolskim obyczajem zaczęto kwestionować w obskurancko – patriotycznym stylu i tę kolejną darowiznę suwerenności, licząc w ułudzie na światową hekatombę wyłącznie w sprawie autonomii Polski, kiedy to świat przekładał zwrotnice na pokojowe tory. Proces weryfikujący tamte decyzje hegemonów trwa w najlepsze, ale w zaściankowym stylu. I co smutne, a także niepojęte, że winą za powojenny status RP obarczano i nadal tak się dzieje, mniej Mocarzy, lecz tych rodaków, którzy zagospodarowywali powojenną przestrzeń Rzeczpospolitej. Promocja faryzejskich przemyśleń zwyżkuje nad roztropnością. Co dalej z Polską? Pytanie aktualne, jak w latach: 1918, 1945, 1989, ale i w 2015 również. Autentyczna suwerenność Polski nie może przybierać idealistycznych odsłon, bo była i jest wektorem geopolitycznych pomysłów oraz wewnątrzkrajowych uwarunkowań.
Dar roku 1918 zawsze przeświecał szacunkiem i był z estymą traktowany, mimo światopoglądowych ostrzałów. W 1944 roku centralne uroczystości odbyły się w Lublinie. Ale w 1945 roku Święto Niepodległości zostało zlikwidowane i po z górą 40. latach przywrócone ustawą z 15 lutego 1989 roku. Uczynili to ci, którzy wedle Nowogrodzkiej, byli genetycznymi klonami tych z początku Ludowej RP. Warto więc ważyć to, co usta wyrzucają, a rzeczywistość kreśli.
Adoracyjnym unikatem nadal pozostaje akt niepodległości z roku 1918. Przetrwał pośrednie stany jej utraty i przywracania, okupionymi krwawiącymi szarżami sycącymi tamten płomień. To unikat, który nie powinien być przedmiotem politykierskiego przeciągania liny. Spektakl wokół form czczenia Niepodległej w jej stulecie jest obrazoburczy. Górę wzięły smętne podziały, które wedle rządzących mają być eliksirem na konsolidowanie społeczeństwa. Niedorzeczność popędza bezsensowność, ale to takie swojskie, jak mydlany interes Cypriana Zabłockiego (1792-1868).

Niepodległość w zwierciadle dobrej zmiany

Organizacja stulecie Niepodległości wyborczym trafem przypadła na czas dobrej zmiany, która perfekcyjnie się pogubiła w czczeniu tamtego daru. Blamaż, to dobrotliwe określenie. Miało być imponująco, a wyszło kompromitująco. Spoiwo wypichcone w werbalnych hasłach miast utrwalać społeczne więzi okazało się rozpuszczalnikiem narodowej jedności. Koncyliacji nadano rangę abstrakcji. Autorzy Niepodległej nie byliby uradowani dziękczynnymi czynami składanymi dzisiaj wobec nich. Rozgardiasz zdominował intencje. Przygnębiająca była absencja ważnych polityków z zagranicy w dniu tego Święta, a wobec jedynego obecnego, i to rodaka, najważniejszego w Unii Europejskiej popełniono gorszący dyplomatyczny nietakt. Małostkowość, krótkowzroczność, nietakt, prymitywna złośliwość, żądza poniżenia, okazanie veta wobec unijnego traktatu przyjętego w referendum, bojaźń przed jego powrotem do krajowej

polityki etc., obniża prestiż Polski w międzynarodowych licytacjach. Trudno przyjąć jednoznaczną wersję inicjatorów obchodów, ale jaka by nie była, to w zagranicznym odbiorze nie ma korzystnych dla nas konotacji. Niepokoi to, że do straceńczego tygla niedorzeczności rządzących jest w całości wtłaczany duch społeczeństwa, a on nie jest jednorodny. Zarządczy prymitywizm wziął górę. Świat to obserwuje i wyciąga wnioski. W dzisiejszych czasach zbyteczna jest jakakolwiek inspiracja ze strony rodaków. Każdy kraj dysponuje nie tylko tzw. białym wywiadem, ale i ambasadorsko – konsularnymi agendami, jako źródłami informacji o stanie państwa w miejscu swego urzędowania. Akredytowani u nas korespondenci różnych zagranicznych mediów też nie próżnują. Wnikliwymi obserwatorami są również uczestnicy międzynarodowych kongresów, stażyści, pracownicy zagranicznych korporacji, turyści odwiedzający nasz kraj itp.

Kalkulacyjne arkusze rodzimych politykierów są niezgłębione. Jeśli natomiast pojawia się cień podejrzeń o rzekomym donosicielstwie współobywateli na własny kraj, co może trącić szpiegostwem, to naturalną reakcją winno być wniesienie oskarżenia w kodeksowych ramach. Takich decyzji nie ma. Jest zaś dostatek politykierskiego jazgotu, a w tle szukanie kolejnych wyborczych szans

o surrealistycznych sugestywnych malunkach bliskich Nikiforowi Krynickiemu (1895-1968).

Nie sposób pojąć bezradność głowy państwa, ale i premiera również wobec organizacyjnej formuły centralnego warszawskiego marszu zatytułowanego Dla Ciebie Polsko. Nazwa frapująca, zaś treściowe wnętrze już mniej. Konszachty władz z następcami tych, których II RP zdelegalizowała są złowróżbne dla kraju. Zamiast jednego obywatelskiego, spontanicznego radosnego marszu, rządzący wypichcili dwa, a może trzy marsze, bo blisko kilometrową przestrzeń dzielącą kroczącą w smutku partyjno – urzędową czołówką gladiatorsko ochranianą, a ścigającym ją narodowo – obywatelskim peletonem spowitym mgłą wybuchających petard i rac, wypełniały służby bezpieczeństwa państwa. One też mają prawo do listopadowej celebry, ale czy w takiej formule? Jedna trasa, ta sama godzina, a ile wielorakości. I jak można zarzucać władzy, że otoczył ją impregnat sobkostwa? Jedność w różnorodności toć to przecież motto Unii Europejskiej. Problem jednak pozostaje tak w rozumieniu, jak i praktycznym stosowaniu tego przesłania. Jeśli tyle problemów z tym pochodem, to gdzie tkwi idea i sens jego organizowania? Formułę tegorocznego marszu dodatkowo zagmatwała aberracyjne niezdecydowanie Prezydenta RP. Rodzi się pytanie zaklęte w tekście piosenki Joanny Rawik: po co nam to było?

Szlachetną intencją prezydenta RP, wpisującą się w czczenie Niepodległej stało się uhonorowanie Orderem Orła Białego wybitnych nieżyjących rodaków. Zaniepokoił komentarz, jakim opatrzył swoją inicjatywę, że dotąd nikt nie wyciągnął do nich przyjaznej ręki. Absolutyzm władzy o wyróżnianiu nieżyjących jest godzien uznania, ale nad tym gestem ciąży pytanie: czy wszyscy z nich wyraziliby zgodę na przyjęcie tych wyróżnień. Odpowiedzi nie poznamy. Dylemat gruntują przypadki odmowy przyjmowania przez żyjących wyróżnień od kolejnych prezydentów RP. Okolicznościowe akcentowanie w spektakularnej formie zasług tych, którzy od zawsze mają trwałe miejsce w narodowym panteonie wybitnych, jest czczym gestem. Urzędowe dekorowanie kolejnymi orderami ich trumien może okazać się powodem do różnorakich interakcji. Ważne, aby były wolne od płaskiego marketingowego posmaku i gruntowały obiektywizm ocen. A z tym problem.

Fatalny styl centralnych obchodów, mający niewiele wspólnego w wersalską elegancją, ratowały uroczystości organizowane przez samorządy gminnej Polski. Było radośnie i sympatycznie, no może poza wrocławskim przypadkiem. Dotąd brakuje szczerej refleksji zwierzchników państwa, niekoniecznie pokutnej, o przyjęciu takich, a nie innych form

uświetniania Niepodległości, bo nie wszystkie były powszechnie aprobowane. Obóz władzy spowiła bezideowa inercja. Niepokój budzi to, że stulecie niepodległości zostało potraktowane przez władzę jako bałwochwalczy totem, a nie zaczyn do rozmyślań nad teraźniejszością i przyszłością Rzeczpospolitej. Pieniądze wydawane na chwałę roku 1918, to dobry gest pod warunkiem, że zostaną zespolone z gruntowaniem wielowymiarowej pozycji współczesnej Polski. Wydaje się, że urojona narodowa duma pozostaje w konflikcie z umiejętnością poruszania się po bruku realności.
Jubileuszowa peregrynacja została wyzuta z perspektywy wytyczania drogi na następne stulecie niepodległości. Dokumentowanie zdarzeń z przeszłości jest ważną i pożądaną sprawą, lecz nie może być celem samym sobie, a taka nastała moda.
Z troską o perspektywę dla dzisiejszego pokolenia najważniejsze są ideowe odnośniki do kolejnego stulecia. W belwedersko – rządowych facecjach tego się nie uświadczy, poza nadmiarem wykrzykiwanych jałowych sloganów o patriotyzmie, narodowej jedności, suwerenności, niepodległości, wolności etc. Baśń zneutralizowała rozsądek władców. Ekstrapolacja to rzadka umiejętność i chyba jest obca rządzącym politykom.

* * *

Obchody Święta, będące kosztowną improwizacją, poprzedziły sztuczne w swej formie apele o: obywatelską jedność, zawieszenie sporów w listopadowym dniu, udział we wspólnym centralnym marszu warszawskimi ulicami etc. Takie przesłania są potrzebne, ale nie mogą pozostawać wyłącznie akapitami w publicznych orędziach. To daremne żale - próżny trud, podążając strofami Adama Asnyka (1838-1887). Nawoływanie do szlachectwa musi być autentyczne i potwierdzone czynami. W dzisiejszej odsłonie, górę bierze niedosyt koncyliacji. Jubileuszowe centralne obchody Święta pogłębiły społeczną frustrację. Może byłoby przyjemniej, gdyby dobra zmiana odstąpiła od swoich nieszczęsnych pomysłów czczenia stuletniego jubileuszu. Nie ma przecież takiego mechanizmu, aby referatowe myśli z dnia poprzedniego już o świcie się spełniły. Apele, także prezydenckie o monolit społeczeństwa, mnożone w tym czcigodnym dniu są niczym innym, jak obłudnym pustosłowiem. Pozorność góruje, a czyny władców to potwierdzają, łącznie z napisaną na bolejącym kolanie prezesa ekstraordynaryjną ustawą obwołującą poświąteczny poniedziałek (12 listopada br.) dniem wolnym od pracy. Intencja władz, chorobliwie stroniąca od eksperckich analitycznych argumentów, sprowokowała rozdzierające dyskusje, jak i kabaretowe odsłony. Narodowa zgoda to proces, a nie rezultat wezwań z gabinetowego fotela. Nierozumienie tego truizmu zainfekowało umysły władców.
Z warszawskich centralnych obchodów Święta Niepodległości w świat popłynął fatalny przekaz. Przykładowo paryskie i londyńskie ceremonie czczenia zakończenia I wojny światowej, to antypody dla naszej adoracyjnej wersji pokłonu wobec tamtego daru. Nad Sekwaną i Tamizą geopolityka, u nas zaściankowe przetargi wzmacniane kibolskimi okrzykami. Sto lat temu było rzeczowo, bo ówcześni negocjatorzy polskiej wolności zgłębili istotę pojęcia kompromisu, a to sztuka, szkoda że obca współczesnym. Aplauz dla własnych czynów i marginalizowanie krytyki jest klasyką strategii klęski. Uzupełniając to wykluczeniem z jubileuszowych obchodów blisko 45. lat Peerelu, która pozostawała w przyjaznych kontaktach, także z tymi państwami, które w Wersalu podali nam przyjazną rękę, a w późniejszych latach starali się pomagać w rozwiązywaniu polskich problemów. Faktów, będących elementami składowymi świata rzeczywistego (Ludwig Wittgenstein – 1889-1951) nie sposób modyfikować, przeinaczać,

zamazywać. One zwyczajnie istnieją bez względu na upływ czasu i ideologiczne doktryny. Niepojęte moce, które zniewoliły umysły dzisiejszych władców migocą nieszczęściem. Samolubne oceny historycznych przedziałów Rzeczpospolitej pozbawione elementów antycypacji są uczuleniową skazą w kontekście polskich dziejów.

Janina Łagoda